

LITWA OSKARA MIŁOSZA

LITWO, OJCZYZNO MOJA

ZNAD WILNI



DWUTYGODNIK

Rok II, nr 21 Wilno, 30 września–13 października 1990 cena 30kop.

POŻYTKI Z KONFEROWANIA

Z jesienią życie publiczne nabrało rumieńców. Jego puls odczuwa się nie tylko w powrocie wieców, lecz i w imprezach o różnym charakterze. Wrzesień był również miesiącem sympozjów, konferencji, seminariów, spotkań. Uczestniczyłem w obradach niektórych, bądź przyglądałem się ich pracy.

Wyróżnić należy seminarium zorganizowane przez Stowarzyszenie Naukowców Polaków Litwy. Była to właściwie konferencja międzynarodowa. Impreza, której przyświecało hasło "Nauka a jakość życia", stała się okazją do spotkania naukowców Polaków z różnych zakątków rozpadającego się imperium i spoza jego granic, przede wszystkim z Polski. W ciągu trzech dni wygłoszono kilkadziesiąt referatów. Oczywiście, były one różnej jakości, w tym niemało na bardzo wysokim poziomie. Niekiedy brakowało czasu na dyskusje, a szkoda, ponieważ niektóre wystąpienia były dość kontrowersyjne i wymagałyby szerszego omówienia.

Dotyczyło to m.in. kwestii utworzenia Uniwersytetu Polskiego w Wilnie. Intencje są piękne. Nie ma wątpliwości, że taka uczelnia jest potrzebna. Tylko... Nie należy zapominać o realiach. Zadajmy sobie pytanie: a kto będzie wykładał? Próba wytypowania "na gorąco" rektora uczelni i ciała pedagogicznego przez jednego z mówców, określenie terminu jej inauguracji (na październik br.!) po prostu wyglądała żałośnie. Bo i co dalej? W tym miejscu konferencji, na całe szczęście marginesowo, powiało prowincją.

Nie będę polemizował z niektórymi autorami referatów. Zapewne nieraz będzie się do nich powracało. Chciałbym natomiast odnotować pozytywne, płynące z tego typu imprez. Prócz wąskiego grona uczonych, którzy i tak rozeszli się przy własnym zdaniu, dużo było młodzieży. To nic, że referaty młodych były czasem naiwne i niedopracowane. Najważniejsze, że takie imprezy mogą być i już się stały bodźcem do pracy naukowej. Po latach właśnie młodzi ludzie zostaną, miejmy nadzieję, naukowcami z prawdziwego zdarzenia. Już samo przysłuchiwanie się dyskusjom zostawi pozytywny ślad. Cieszy, że na konferencji było niemało nauczycieli. Robili oni notatki, a to jest także znak, że wiedza będzie przekazywana dalej.

Jednym z celów wszystkich konferencji jest zawiązanie nowych kontaktów. Pod

tym względem konferencja przerosła oczekiwania. Inaczej i być nie mogło - spotkali się rodacy na pierwszej tego typu od wojny imprezie w Wilnie. Myślę, że polskie massmedia będą powracać do tych spotkań. Realizatorzy Magazynu TV "Panorama Tygodnia" utrwaliли cykl rozmów z gośćmi obrad, który w odcinkach zostanie zaprezentowany widzom.

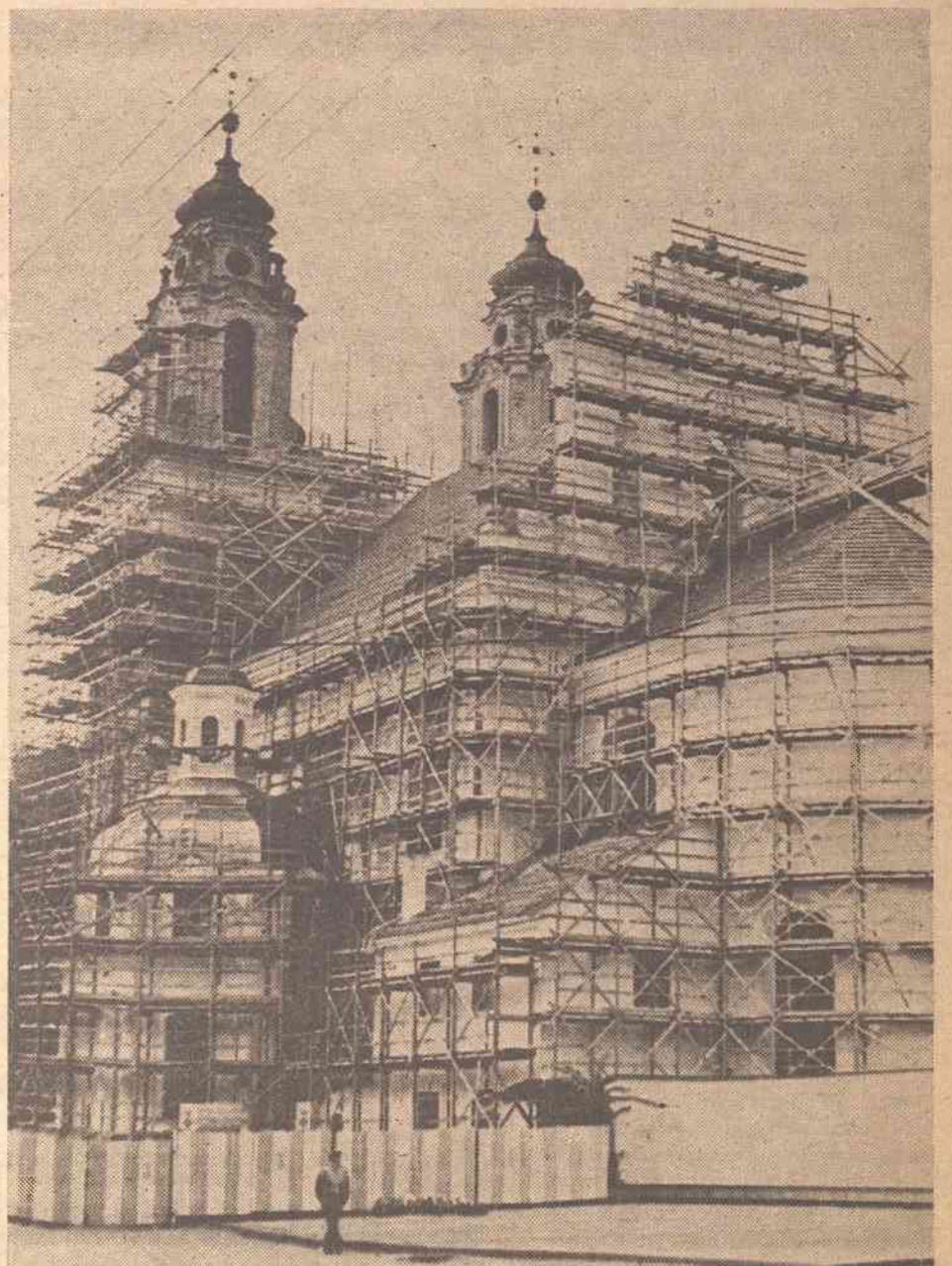
Co trzeba odnotować i co najczęściej u nas szwankuje - to organizacja. Była sprawna i niezawodna. Organizatorzy przyszłych imprez bierzcie przykład!

Uczestniczyłem także w dwóch imprezach, jakie miały miejsce w uroczej miejscowości Wigry w Polsce. Z wielką przyjemnością byłem gościem 14 Spotkań Suwalskich pt. "Kultura i Środowisko". Pamiętam, z jakim wzruszeniem jechałem na tę imprezę w 1985 roku, kiedy po latach zakazów i kilkuletniej przerwie mogłem przyjechać do Polski. To wówczas poznałem wielu ludzi, z którymi łączy dziś serdeczna przyjaźń.

Tegoroczne Spotkania interesowały mnie szczególnie - problemy tam omawiane - a mianowicie koncepcja stworzenia z Suwalszczyzny "Zielonych Płuc Polski", są aktualne i u nas. Litwa posiada podobne warunki naturalne. Wiele też należy zrobić, żeby przyroda w strefie przygranicznej nie została zniszczona w wyniku absurdałnych porządków na granicy litewsko-polskiej. Pozostaje ona nadal rubieżą ZSRR, co nie sprzyja powstrzymaniu dewastacji. Zarówno Ładzijai, jak i okoliczne Sejny wraz z okolicami mają szansę rozwoju - jako pięknie i funkcjonalnie zagospodarowane tereny, gdzie inwestycje turystyczne nie klóciłyby się z naturą.

W Wigrach odbył się też pierwszy etap konferencji "Litewskość-Polskość-Uniwersalizm". Jej drugi etap zamknięto wczoraj w Druskiennikach. Wspólna przeszłość, wytworzenie unikalnych kultur na styku wpływów łacińskich ze wschodnimi sprawiają, że prócz cech charakterystycznych tylko sobie te pierwsze dwa pojęcia byłyby niepełne bez trzeciego, które w szczególny sposób łączy narody. Eliminując to, co dzieli, stanęliśmy znowu przed koniecznością zjednoczenia swych wysiłków. Ale żeby to nastąpiło, musimy bliżej poznać siebie. W tym właśnie bardzo pomocne są spotkania polsko-litewskie. Oby były one częstsze.

Romułd Mieczkowski



Kościół św. Katarzyny powraca do dawnej świetności
Fot. Piotr Jankowski

Pierwsze pięciolecie PKZ w Wilnie

W grudniu 1990 roku minie pięć lat, gdy przedstawiciele PKZ z Warszawy podpisali pierwszy kontrakt na rewaloryzację obiektu zabytkowego w Wilnie. Umowa dotyczyła skrzydła klasztoru bazylianów zajmowanego niegdyś przez zakonnice tego zgromadzenia. Przedsiębiorstwo PKZ prowadziło roboty eksportowe w wielu krajach świata, jednak rynek litewski, a zwłaszcza praca w centrum wileńskiego Starego Miasta nakładła na nas szczególne obowiązki. Była zaszczytem.

Pierwsza dwudziestoosobowa ekipa z Oddziału Gdańskiego (PKZ-ty posiadają 20 oddziałów w różnych miastach Polski) zjawiała się w Wilnie wczesną wiosną 1986 r. Było to tuż po zniesieniu stanu wojennego w Polsce, a zatem po długotrwałej izolacji Polski, której granice były szczelnie zamknięte. Miejscowi Polacy, pozbawieni kontaktów z rodzinami w ówczesnej PRL, odwiedzali tłumnie biuro wileńskiej budowy z polskojęzycznym szyldem. Mieścila się ona przy ul. Ostrobramskiej 3. Ciekawi pytali, co słychać w Polsce? Co będziemy tu robić? Gdzie mieszkamy? Jak długo pozostaniemy?

Roboty ruszyły wartko. Litewski nadzór uważnie przyglądał się organizacji prac, jakości robót, terminom. Egzamin widocznie wypadł dobrze, gdyż po roku zlecono nam następne

Dokończenie na s. 3

Pierwsze pięciolecie PKZ w Wilnie

Dokończenie ze s.1

cztery obiekty, a później dalsze trzy. Były to budowle wysoko notowane w hierarchii wileńskich zabytków:

- skrzydło pałacu Janusza Radziwiłła ul. Łabdariu (Dobroczyńności) 3
- pałac Paców ul. Świętojańska 3
- pałac Chodkiewiczów (wnętrza) ul. Wielka 4

- kamienica mieszczańska ul. Wileńska 31

- kościół św. Katarzyny ul. Wileńska 30
- pałac Radziwiłłów ul. Wileńska 41
- budynek na fundamentach zamku dolnego ul. Wróblewskiego 3.

Wraz z podpisywaniem nowych kontraktów napływały do Wilna nowe polskie załogi. Liczebność ich w 1989 roku osiągnęła 350 osób. Zakwaterowano nas w wieżowcach na osiedlach Szeszkinia i Fabianiszki, stwarzając bardzo dobre warunki mieszkaniowe. Dla ułatwienia zakupów artykułów pierwszej potrzeby w hotelu urządzono sklepik. Zorganizowano też kawiarenkę.

Do koordynacji prac remontowych wykonywanych przez polskie firmy w Wilnie utworzony został specjalny Zarząd Rewaloryzacji Starego Miasta. Jego dyrektorem został energiczny organizator Petras Lepeška. Harmonijna współpraca litewskiego inwestora i polskiego wykonawcy szybko dała wyniki. Już 12 grudnia 1986 r. gdańska załoga wywiesiła na dachu klasztoru bazylianek pierwszy wianek, symbolizujący ukończenie stanu surowego, a 5 października 1988 r. zgodnie z umową przekazaliśmy klucze od gotowego obiektu. Podobnie terminowo przekazywane były następne budynki, tj. 30 czerwca 1989 r. - wnętrza pałacu Chodkiewiczów przy ul. Wielkiej 4 i 30 października 1989 r. skrzydło pałacu Radziwiłłów przy ul. Dobroczyńności 3. Wszystkie przekazane obiekty uzyskały bardzo dobre oceny za jakość wykonanych prac. Obecnie kontynuowane są konserwatorskie remonty na pięciu obiektach, z których jeden - pałac

Paca przy ul. Świętojańskiej 3 - przekazany zostanie do użytku w końcu br. Znajdzie w nim siedzibę Dom Kultury Pracowników Łączności. Troską napawa fakt, że nie są zawierane umowy na następne prace. Rozumiemy jednak sytuację, w jakiej znalazła się Litwa po 11 marca 1990 r. i czekamy na wyjaśnienie spraw zasadniczych, a także dalszej współpracy konserwatorskiej w nowych warunkach. Należy dodać, że dotychczas kontrakty na wileńskie remonty zawierane były przez PKZ w "Sojuzwnieszstrojimportem" w Moskwie. Przyszłość zależy więc od rozmów pomiędzy rządami Republiki Litewskiej i ZSRR oraz ustaleń, jakie układy te przyniosą.

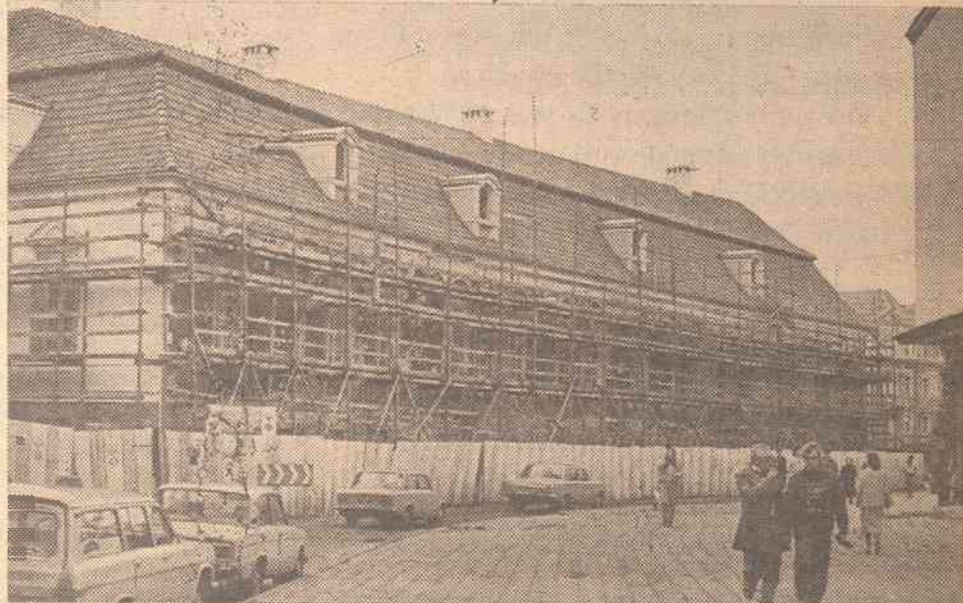
Polscy pracownicy przyjeżdżając do kontraktów do Wilna wiążą się na dobre i złe z miejscową społecznością. Byliśmy tu zatem i jesteśmy świadkami wydarzeń zmieniających bieg historii. Cieszyliśmy się z ogłoszenia Deklaracji o Niepodległości Litwy, a także cierpieliśmy niedostatki wynikłe z blokady gospodarczej. Kupujemy na kartki mydło i cukier, znosimy upokorzenia przy zakupach "na paszporty", z niepokojem patrzymy na opustoszałe półki sklepowe. Z zasadniczych względów nie jesteśmy też obojętni na sprawy miejscowych Polaków. Uczestniczyliśmy w zebraniu założycielskim Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie, które przeobraziło się w Związek Polaków na Litwie. Duchowo i materialnie wspieraliśmy powstającą w Wilnie Fundację Kultury Polskiej na Litwie. Załogi nasze wielokrotnie brały udział w różnych inicjatywach społecznych, z których najbardziej spektakularna była akcja remontowania zniszczonych nagrobków na Rossie. Konsultant naukowo-konserwatorski PKZ w Wilnie prof. arch. Edmund Małachowicz opracował społecznie projekt techniczno-roboczy uporządkowania kwatery partyzanckiej AK wojskowego cmentarza na Rossie. Mamy nadzieję, że projekt zostanie szybko zaaprobowany przez kom-

petentne władze litewskie i przekazany stronie polskiej do realizacji. Za pieniądze zebrane wśród pracowników wileńskiej załogi PKZ zakupiony został kolorowy telewizor dla polskich dzieci uczęszczających do szkoły w Podbrodziu. Podobnie braliśmy udział w zbiórkach odzieży dla najbardziej potrzebujących, pomagaliśmy przy przekazywaniu książek z Polski dla szkół na Wileńszczyźnie. Załoga nasza systematycznie prenumeruje wszystkie polskojęzyczne periodyki ukazujące się na Litwie. Trzech pracowników PKZ wyjechało do Kraju po zakończeniu swych kontraktów, uważając poślubione miejscowe dziewczęta, co najlepiej świadczy o atmosferze i stosunku wilanin do przybyszów zza zachodniej miedzy. Niejedna znajomość zawarta w Wilnie przerodziła się w wieloletnią przyjaźń owocującą odwiedzinami w Polsce i na odwrót.

Jako fachowcy konserwatorzy zabytków znamy wartość Starego Miasta w Wilnie i jego potrzeby w zakresie remontów. Pracy jest moc. Wieloletnie zaniedbania dają o

sobie znać. Popękane ściany, zalamane dachy, ciekające instalacje, zatarte malowidła czy opadające sztukaterie czekają na konserwatorską interwencję. Gdy przychodzi zbyt późno, katastrofy budowlane zamieniają w ruinę wspaniałe relikty przeszłości z ich historycznymi nawarstwieniami. Ginę bezpowrotnie pamiątki kultury materialnej. Wszystko, co powstaje w ich miejsce, jest nową jakością pozbawioną patyny dającej świadectwo starym wiekom. Dlatego ratować trzeba substancję zabytkową wileńskiego Starego Miasta, które należy do najcenniejszych zachowanych zespołów urbanistycznych w Europie. Mamy nadzieję, że pięcioletni okres polsko-litewskiej działalności w sferze ratowania dóbr kultury stanowi dobrą przesłankę do jej kontynuacji w przyszłości.

Jerzy Jarzębowski,
pełnomocnik Biura Handlu
Zagranicznego
Pracowni Konserwacji Zabytków
w Wilnie



W byłym pałacu Radziwiłłów rozlokuje się muzeum teatru
Fot. Piotr Jankowski

Z piętnem siły i uporu



Fot. Danuta Rynkiewicz

Przyjrzyjmy się małemu dziecku uczącemu się chodzić. Porusza się na czworakach, usiłuje się podnieść, pada, niezdarne i uparte. Rozpoczyna od nowa... i tak aż do skutku. Dziecko na praktyczne opanowanie sztuki chodzenia potrzebuje miesiąca. Ile czasu potrzebuje człowiek dorosły, by się tej sztuki oduczyć, by zapomnieć, że kiedyś chodził? Wiem tylko, że jedno życie na takie zapomnienie to za mało.

Jerzy Jaźwiński nie zaakceptował losu, który Mu został zgotowany. Człowiek ten, któremu wózek inwalidzki musi zastąpić nogi, nie usiłuje zapomnieć, że kiedyś chodził, wręcz odwrotnie - szuka sposobu na przewyżczenie własnego kalectwa. Wie, że musi uwolnić się od kul, lasek, wózka. Musi chodzić!

- Moją misją jest pomoc ludziom niepełnosprawnym. Jestem na to po prostu skazany.

Może wynika to u Niego z zaostrej świadomości mijania życia, w każdym bądź razie nie zgadza się na granie w nim roli biernego obserwatora i konsumenta tych godnych pożałowania okruczeń, którymi nasze społeczeństwo płaci niepełnosprawnym, jakby za milczenie i pokorę.

Minał już rok od chwili, gdy za pośrednictwem prasy zwrócił się do ludzi dobrej woli gotowych nieść pomoc słabszemu: *Jestem pewien, że takich ludzi nie brak wśród nas - pisal - chodzi tylko o to, by ci potrzebujący pomocy i ci ofiarujący ją znaleźli się nawzajem.* Wówczas jeszcze nie było komisji opieki społecznej przy Zarządzie Głównym Związku Polaków na Litwie, więc jako centrum koordynacyjne zaproponował własne mieszkanie, podał też swój prywatny telefon. Przez kilka dobrych dni telefon ten urywał się od dzwonek. Niestety, absolutną większość telefonujących stanowili niepełnosprawni - załamani, odrzuceni przez społeczeństwo (a czasem też przez najbliższych), często wegetujący na pograniczu nędzy. W pierwszej chwili oszołomiło Go to morze rozpacz, lecz szybko ochłonął. Spróbował pomagać tym ludziom we własnym zakresie - komuś wykorzystując prywatne kontakty załatwił pracę chałupniczą, kilka adresów przekazał do Czerwonego Krzyża, byli też tacy, którym wystarczyło kilka słów otuchy, pocieszenia... przyrzeczenia

cudu. Cudem w pojęciu człowieka niepełnosprawnego jest chyba zrujnowanie tego chińskiego muru, którym odgradzili się od niego reszta społeczeństwa. Jerzy Jaźwiński zdaje sobie sprawę, że na "cud" ten trzeba ciężko pracować.

- W walce o równouprawnienie dla inwalidów nie można się cofać o krok, gdyż w miejscu uczynionego w obojętności ludzkiej wyłomu wyrastają góry nie do pokonania. Biurokraci w celu samoobrony przed nami mnożą paragrafy, absurdalne uchwały i ustawy. Lecz nie tego się boje. Tysiącokrotnie większym zagrożeniem są dla nas zwykłe schody, wysokie progi i wąskie przejścia. Na przykład: z ramienia ZPL należą do grupy koordynacyjnej Komisji ds. Socjalnych przy Wileńskim Samorządzie Miejskim. Jedynie poprzez udział w posiedzeniach niewiele uda się zdziałać. Zdaje sobie sprawę, że w naszych układach, chcąc coś załatwić należy forsować gabinety możnych tego świata. Jak długo mogą to robić korzystając z wózka inwalidzkiego? Raz, góra dwa razy, a tego z reguły jest za mało. Owszem, gdybym codziennie wdrapywałem się tym swoim "pojazdem" do któregoś z ministrów, wzbudziłbym sensację, byłaby to dobra reklama dla krzywdy ludzi niepełnosprawnych, ale czy udałoby się w ten sposób coś załatwić? Nie chodzi przecież o to, by swym kalectwem wzbudzać ludzką litość. Litości mieliśmy już dość. Chcemy udziału w pełnowartościowym życiu, które dotąd oglądaliśmy na ekranie telewizorów lub przez okna.

O taki udział zawsze najzacieklej walczyli ludzie, którzy przeszli piekło bólu, niemocy, wyobcowania. Walczyli, lecz czy zwyciężali?

- Nie dam się odstawić na boczne tory. Mam nadzieję, że wkrótce o własnych siłach uda mi się pokonywać nawet schody. W cywilizowanych krajach produkuje się protezy, które nie są (jak rodzime) tylko dekoracją, a służą, proszę to sobie wyobrazić, do chodzenia. Potrzebuję takich protez i ufam, że będę je miał chociażby ze względu na INWATEX. Jest to firma, którą sobie wymarzyłem i której głównym celem ma być pomoc inwalidom. To m.in. ma być produkcja sprzętu inwalidzkiego, tworzenie stanowisk pracy dla niepełnosprawnych, prowadzenie jakiegokolwiek działalności, z której dochód pozwoli wyrwać ludzi z niewoli kalectwa. Pomysł ten zaczyna się powoli materializować dzięki grupce zapaleńców, którzy nie boją się zaczynać od zera, którzy podjęli się najtrudniejszego zadania, jakim jest zakładanie podwalin.

Jerzy Jaźwiński jest niekoronowanym szefem powstającej firmy. Zdaje sobie sprawę z tego, że będzie trudno, że na czyjekolwiek wsparcie można będzie liczyć dopiero w chwili, gdy firma zacznie prosperować, gdy przyjdzie sukces.

- Ufam, że nam się uda. Mam solidną praktykę w organizacji pracy. Poza tym, nie zabierałbym się do czegoś, co mnie przeraża - twierdzi człowiek, którego oblicze cechuje siła wewnętrzna. Trzymajmy za Niego kciuki, bo... Przyjrzyjmy się dziecku uczącemu się chodzić...

Halina Korecka

Oskar Miłosz: Litwa - to

Oskar Miłosz, urodzony w 1877 roku w rodzinie spolszczonego litewskiego szlachcica i córki warszawskiego hebraisty, przez dłuższy czas ani się zamyślał o swojej ojczyźnie czy narodowości. I to tym bardziej, że od 12 lat zamieszkiwał w Paryżu, gdzie nauczył się wielu języków, z tym, że we francuskim osiągnął szczyty poetyckie, których dotarło niewielu. Lecz pracując podczas pierwszej wojny światowej w departamencie do spraw Europy Wschodniej, studiując regularnie prasę regionu bałtyckiego, poeta zateśnił do rodzinnych stron. Ogłoszenie przez Litwę niepodległości w 1918 roku jeszcze bardziej wzmocniło jego miłość i szacunek dla dalekiej ojczyzny. Miłosz podejmuje wszechstronną działalność dla dobra Litwy, którą rozpoczyna szeregiem odczytów przed paryską inteligencją w celu spopularyzowania historii i kultury swego kraju na Zachodzie. W roku 1920 poeta zostaje pierwszym ambasadorem niepodległej Litwy w Paryżu, a od 1925 i aż po kres życia (zm. 1939) pełni obowiązki radcy ambasady. Pomimo nieustannej pracy naukowej i literackiej Oskar Miłosz zabiera się do studiów nad folklorem litewskim i wydaje we własnym tłumaczeniu francuskim dwa tomy bajek i podań ludowych. Do najważniejszych dzieł oprócz, oczywiście, poezji i utworów dramatycznych, powstałych w pierwszej połowie życia - należy seria esejów metaforycznych, jak również szkice historyczne, traktujące o najbardziej zagadkowych miejscach Pisma Świętego oraz o problemach pochodzenia narodów żydowskiego i litewskiego.

Odczyt, wygłoszony 29 marca 1919 roku przez Oskara Miłosza w sali paryskiego Towarzystwa Geograficznego, a stanowiący wyjątkowy wzór ofiarnej miłości do ojczyzny, wyróżnia się jeszcze i ze względu na to, że właśnie tu poeta po raz pierwszy mówi o Litwie jako o swojej Ojczyźnie.

Andrzej Konicki



Od dawna się zastanawiałem nad źródłem głębokiego wzruszenia, które ogarnia mnie gdy przypominam ten daleki i tak długo nie znany Zachodowi kraj, Litwe.

Moje wyznanie, na pewno, ma w sobie coś dziwnego; a jednak się nie wahałem ani chwili co do odkrycia Wam swych myśli. Przejęty czułością do tej smutnej i wspaniałej ziemi, co mi dała życie i możliwość ją opiewać, ja, niewątpliwie, nigdy bym się nie zgodził przemawiać do Was o tej miłości, gdybym był z tą ziemią związany jedynie krwią i wspomnieniami osobistymi. Ojczyzna - jak ludzie: powinniśmy ich kochać jacy są, lecz nie zawsze są oni w stanie tę miłość żywić. I jeżeli pomijam moją wielką samotność, by porozmawiać z Wami o Litwie, to dlatego, że ten piękny kraj, który dał mi swą całą duszę, to nie tylko moja ojczyzna, to i Wasza ojczyzna również.

Tak, Panie i Panowie Zachodu, przemawiam do Was o Waszej dawnej ojczyźnie. Tak, Córki i Synowie rodu indoeuropejskiego, mówię z Wami o Waszej kolebce. Bo ta Litwa, tak mglista w Waszym pojęciu, jest najstarszym i najczystszym szczątkiem tego tajemniczego rodu, co we mroku minionych lat zszedł ze świętego miejsca, zwanego Pamirem, by rozpowszechnić się w lasach i dolinach zimnej i dzikiej Europy.

Właśnie w tej ziemi bałtyckiej, gdzie się urodziłem, kilka tysięcy lat zamieszkiwała rasa aryjska, rasa ognia i śniegu, zanim się rozproszył po całym kontynencie europejskim i położył tu podwaliny majestatycznego gmachu społecznego, który z czasem miał się ozdobić trzema zachwycającymi wieżami, skąd duchowe spojrzenie sięga ku końcom Wszechświata, a które się zowią Hellada, Rzym oraz Francja.

Jak Rzym, jak Hellada, a szczególnie Francja, Litwa - to więcej niż ojczyzna; to - idea, jedno z płonących ognisk ewolucji ludzkości.

Okolo r. 1200 przed Chr. jedna linia rodu litewskiego zesłała przez Balkany do Grecji i, szczepiąc chylącej się ku końcowi kulturze kreto-mykeńskiej swoje tradycje aryjskie, przygotowała zadziwiająco cywilizację helleńską, źródło dwóch światów, rzymskiego i francuskiego. Obecnie również stwierdzono, że potężny a tajemniczy naród Etrusków posługuje się dialektem sanskryckim, bardzo podobnym do języków naszych krajów bałtyckich.

Bowiem ród enigmatyczny, pochodzący z lśniących szczytów, mawiał sanskrytem. Dziś jego linie, rozproszone i, niestety, obce jedna drugiej, mówią po francusku, po

angielsku, po włosku, po hiszpańsku, po niemiecku, po grecku, po polsku, po rosyjsku; ale plemię macierzyste, litewskie plemię, zachowało czysty język pierwotnych czasów objawień bramińskich; tak, że chłopci nasi dziś jeszcze, po upływie bodaj dwudziestu tysięcy lat po wędrowce, posługują się językiem bliskim do sanskrytu pod tym względem, że go łatwo rozumieją inni potomkowie podstawowego rodu - mieszkańcy współczesnych Indii. Tak, minęły dziesiątki tysięcy lat od czasów separacji, a marynarze litewscy obcuja z narodami XX wieku w świętym języku braminów.

Nie chce mi się pograżać w historycznej przeszłości tego półbajecznego kraju, który mi jest Macierzą, a Wam - dalekim przodkiem. Tych kilka słów, możliwe, poruszyły w Was bardzo dawne wspomnienia, drzemające w duszy lub krwi. Jak wszystkie wielkie i szlachetne postacie żeńskie Pisma, Litwa jest matką o zranionym sercu. Niegdyś oświecająca światłem swojej przewagi sąsiednie ludy, zatopione w głębokim barbarzyństwie, uchodząca za królową narodów północnych, dała Polsce najznakomitszych jej królów, Jagiellonów, w ciągu stu dwudziestu lat, od 1795 do 1915, Litwa była znieważana pod władzą obcych tyranów, carów rosyjskich. I pomimo niewiarygodnie ciężkiego losu, pochylona jak pod barbarzyńskim jarzmem, Litwa, oddana westalka, pobożnie utrzymywała ten święty, ten duchowy ogień, którego ziemskie wcielenie Wieczny Ogień płonął do XIV w. w ołtarzach świątyni w Wilnie, naszej stolicy. Zmordowana, zhańbiona, dała Europie, ziemi filozofów Immanuela Kanta i Towiańskiego, poetów Adama Mickiewicza i Norwida, bohatera narodowego Kościuszkę, i to wymieniam tylko najbardziej słynne imiona, bliskie wszystkim ludziom ziemi, bo czasu mi brak, a Bogu wiadomo, jak długa jest lista wybitnych Litwinów. Nie, nie będę się zagłębiał w historycznej przeszłości Litwy. Uchronię Was również przed zobrazowaniem bólu i upokorzeń, jakie przyniosła jej czteroletnia okupacja niemiecka, i cierpienia, na które ją dziś narażają głód i inwazja armii bolszewickich.

Wszak nie przyszedłem rozprawić z Wami o Litwie wczorajszej, objętej męką. Podoba mi się ból: jest piękny i owocny, lecz tylko radość jest święta. I właśnie radość wschodzi nad światem, mianowana swym francuskim imieniem wolności i sprawiedliwości. Opowiem Wam o nowej Litwie, o Litwie dzisiejszej i przyszłej, o narodzie, którego niepodległość uważana jest przez członków konferencji pokojowej za sprawę najniezwłoczniejszą, za samo sedno nowego problemu wschodniego. Właśnie zamierzam Wam opowiedzieć o mojej żywej Litwie, o Waszej Litwie, wyzwolonej i uratowanej ofiarnością Waszych bohaterów.

Jeżeli o przeszłości Litwy wiadomo niewiele, to o roli, którą ten kraj odegrał w powszechnym konflikcie, jeszcze mniej. A jednak jeździec ze srebrnym uzbrojeniem i biały koń naszego godła narodowego, pochodzący z tej samej dawnej tradycji, jak jeździec na białym koniu Apokalipsy, nie są zupełnie obce cudowi nad Marną.

Wiadomo, że we wrześniu 1914, gdy wojsko niemieckie stało przed murem Paryża, Rosja z niezbyt właściwą sobie bezzwłocznością wkroczyła do Prus Wschodnich i przyczyniła się do oddalenia od stolicy świata zagrażającego jej wielkiego niebezpieczeństwa. Znacznie mniej wiadomo, że ta rosyjska armia okupacyjna składała się prawie wyłącznie z pułków litewskich. Ale na tym wysiłki naszego kraju się nie skończyły.

Nie było na froncie wschodnim takiego pola walki, gdzie Litwini nie pozostawiliby dobrych wspomnień o swoich czynach bohaterskich. Pięćset tysięcy Litwinów służyło w wojsku rosyjskim. Trzysta tysięcy żołnierzy litewskich z Ameryki również brało udział, obok swych francuskich braci, we wszystkich wielkich bitwach drugiej fazy konfliktu.

Na czym polegają dążenia tej nowej Litwy, której odbudowa stanowi niezbędne założenie przyszłego porządku w Europie Wschodniej? Są one tak zwyczajne, tak naturalne, tak zbieżne z naszym dzisiejszym pojęciem sprawiedliwości i ludzkości, że się ujawniają same przez się, gdy nawet przelotnie się spojrzy na same początki jednej z najstarszych cywilizacji europejskich. Oto one w kilku słowach.

Zupełnie obca względem swego pochodzenia, języka, kultury, a szczególnie charakteru burzliwym narodom słowiańskim, które gnebiły ją tak długo, Litwa nalega na całkowitej niepodległości politycznej terytorium, zamieszkałego przez sześć i pół miliona Litwinów, a składającego się z gubernii Wileńskiej, Grodzieńskiej, Rowieńskiej i Suwalskiej, części gubernii Mińskiej, a wreszcie Prus Wschodnich, czyli Litwy Mniejszej. Stolica tego państwa, stary Wilnius, bądź Wilno, jest w pewnym sensie miastem świętym a sercem Litwy. Tu się znajdowała świątynia Wszechbóstwa; tu płonął *Ažina Ugnis*, wieczny ogień Aryjczyków. Nie trzeba ruszać Wilna, naszej stolicy. Tym spośród naszych sąsiadów, którzy wykazują, pod tym względem nadmierną uporczywość, radziłbym się wystrzegać mocy ognia świętego, wiecznym płomieniem płonącego w naszych duszach.

Litwini, znajdujący się w tej sali, do Was się zwracam. Czy jest na świecie Litwin - chłop, mieszczanin, szlachcic - który by nie był gotów oddać swego życia za Wilno, opiekuna ognia tajemniczego? Tak, przyjęliśmy na swe ramiona święte brzemień krzyża, i wiara chrześcijańska żyje

O więcej niż Ojczyzna...

w naszych sercach; lecz nie wygnaliśmy ze swego ducha ciepła i blasku Ognia Wiecznego. I ten ogień życia i miłości, ten doskonały kształt Objawienia płonie nie tylko w naszej czułości do kraju swych ojców, w naszych wierszach i pieśniach płonie on również, po upływie sześciu katolickich stuleci, w chatach naszych chłopów. Dba się o niego jak o dziecko: ojciec rodziny pokrywa go na noc popiołem, wygłaszając sakramentalne hasło - "Šventa gabija, bīk rami ir sveika": Spoczywaj wieczny ogniu, odetchnij długą nocy, bądź spokojny i domu naszemu pokój pošlij. - Nie, Wieczny Ogień płonie nie tylko w naszych sercach, lecz także w naszych domach; i gdy on, na nieszczęście, gaśnie, cała rodzina pogrąża się w smutku, bo Wieczny Ogień - to Życie i Miłość, a jego brak wyzwala siły Mroku, duchy pychy, zniewolenia i śmierci.

Ja sam też długo nosiłem w sobie ten ogień; po ów dzień, bracie mój Bruycz, gdy nasi bracia odsłonili go mi tkwiącym w powsz. dności, jak pod strzechą moich chłopów litewskich. Bracia moi, tu obecni, Wam to zawdzięczam: gdyż właśnie Wy, Wy - Francuzi, wskazaliście mi mą istotną drogę. Tamtego dnia zrozumiałem, ile siły i pociechy zawierają słowa: młoda demokracja litewska, i odrzuciwszy wszelkie przesady i kłopoty osobiste, skierowałem dla dobra swej ojczyzny całą moc tego ognia duchowego, tego Wiecznego Ognia, co nam świeci - Wam i mnie.

Nowa era powstaje dla nas wszystkich. Stary świat zachwiał się u samych podstaw; nadszedł czas, niosący jak gdyby zbawienie od mąk przedzgonnych starym wartościom, wyczerpanym doktrynom, jałowym ustrojom. Lecz akcja destrukcyjna jeszcze się nie skończyła, a pewien kraj, zwiastun wiecznego odrodzenia, najstarszy z krajów europejskich, macierz Aryjczyków, już się podnosi z gruzów, zawsze gotowy do pracy twórczej.

Kraj ten - Litwa, której imię napelnia mi rozum i serce. Pragnę Was z nią zapoznać. Chodźmy! Powiodę Was w duszy do tej dziwnej, tajemniczej, zamglonej a szemrzącej krainy... Oto jesteśmy na skraju polskich ziem, już północnych, oczywiście, lecz wciąż upstrzonych w kwiaty. Jeszcze chwila - i lecimy nad krajem, gdzie wszystko jest z lekka zabarwione wspomnieniem. Spowija nas zapach wodnych lili, tchnienie omszałego lasu... To - Lietuva, Litwa, ziemia Giedymina i Jagielly. Wilgotne, wyblakłe niebo otwierające się przed nami zamysłonego kraju w pełni zachowało świeżość wzroku pierwotnego ludu. Wspaniały smutek dojrzałości nie jest mu znany. Po siedmiomiesięcznym zimowym zdrętwieniu ono budzi się raptem w niespodzianej wiosennej śliczności, a w połowie września to wiele obiecujące wiosenne odrodzenie tak i nie wytworzywszy lata, krzykiem wron znów przywołuje długą siedmiomiesięczną zimę. I oto miodowa woń litewskiego lata znowu się zmienia w ten jesienny aromat, co zawiera w sobie samą duszę Litwy. Gorzkosłodki zapach, jak od starego drzewa, wywróconego i pogrzebanego w mchu, jak od ruin po sierpniowej ulewie. W matowym brzasku pogrążona łąka, mgła siarkowa rozściela się nad lasem, blade obsesji zalewa nieme oblicze słońca. Sanie, chociaż śniegu jeszcze nie było, zastępują już wóz na zalanych drogach. Zapach zamoczonego w rzece lnu rozlewa się po wsi. Wreszcie, nie na długo spadnie listopadowy śnieg, i podwózkowe psy rozpoczynają swoje nieustanne wieczorne pogawędki z wilkami z ukrytego w mgłę starego lasu.

Wśród takich oto dekoracji, naszkicowanych - niestety! - ze zbytym pośpiechem, prosiłbym Was teraz ulokować wiersze i pieśni, które lepiej niż cokolwiek, co mógłbym jeszcze dodać do swej opowieści, odsłonią przed Wami duszę mojej ojczyzny. Wiele z pieśni, które wkrótce usłyszycie, sięgają najdawniejszych czasów; wiersze zaś, które będę miał przyjemność Wam wygłosić, ułożone zostały przez poetów współczesnych. Bowiem dziś na Litwie - prawdziwe odrodzenie sztuki i myśli. Zrywając z tradycją romantyczną, poeci nasi zaniechali obcych ubiorów, w które ojcowie ich wystroili muzy. Oni wycofali, i nie bez racji, język polski ze swych książek, i zwróciwszy się ku narodowym właściwie źródłom swoich myśli i uczuć, przywrócili pięknemu językowi litewskiemu, najstarszemu z europejskich idiomów, należyte mu czcigodne miejsce.

przełożył Andrzej Konicki

Tytuł oryginału:

Conférence de O.W. de L.Milosz
à la salle de la Société de
géographie, Paris, 29 mars 1919

Dzieła Oskara Miłosza w Polsce były do niedawna mało znane. Ukazały się przekłady niektórych jego utworów (np. Oscar V. de L.Milosz - "Wybór poezji", Wyd. Literackie 1983), jednakże do szerszego poznania przyczyniły się utwory, wydrukowane w czasopismach. Twórczość Oskara Miłosza jest natomiast obfita - we Francji opublikowano ją w dziesięciu tomach. Poniżej drukujemy "Wstęp" Autora (tytuł pochodzi od redakcji) do "Baśni i legend litewskich", które ukazały się w Olsztynie w 1986 roku nakładem wydawnictwa "Pojezierze". Utwory tłumaczył Krzysztof Wakar.

O MITOLOGII LITEWSKIEJ

Czy niniejszy zbiór jest przekładem; czy też opracowaniem? Po długim wahaniu między tymi dwoma określeniami zdecydowałem się na drugie, aczkolwiek dość poważne przyczyny skłaniały mnie ku pierwszemu.

Najbardziej dokładny byłby może trzeci termin, "wersja", którego użycie, jeśli chodzi o sztukę ludową, znajduje zawsze uzasadnienie. Baśnie ludowe wszystkich krajów, podobnie jak na innej płaszczyźnie ezoteryczny komentarz do Pism Świętych większości religii, są przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie, co nadaje wyjątkową giętkość ich formie zewnętrznej. Jeśli jednak odrzuciłem to trzecie określenie, to tylko po to, by zaspokoić wymagania i dokładności, nierozdzielnie związanych z uczciwością pisarza, a zwłaszcza poety, nawykłego, aby z pełną pasją powolnością w najgłębszych zakamarkach pamięci szukać słowa, które, jak wyraził to Baudelaire, "przesłania myśl".

Odrzuciłem więc ten trzeci termin z powodu jego rozciągliwości, która pozwala stosować go do samych tekstów, stanowiących źródło tej pracy. Dzieła Basanavičiusa, Baranauskasa, Daukantasa, Jurkšaitisa i kilku innych są owocem cierplivej konfrontacji ustnych wariantów, utrwalonych przez nich piórem po wystuchaniu ludowych opowiadaczy. Już same te zbiory są wersjami i zastosowanie tej nazwy do naszej antologii ograniczyłoby jej zasięg oraz niewątpliwie wypaczyło sens. Precedensem - być może jedynym - pracy, której wynikiem jest ta książeczka, były ongiś starania Charlesa Perroulta, by jego opracowanie starych opowieści francuskich zainteresowało osoby wykształcone, nie tracąc przy tym nic z wrażliwości i charakterystycznych cech anonimowych bazarzy ludowych, którzy pozostawili w nich, w mniej lub więcej nienaruszonym stanie, wspaniałe dziedzictwo dawnej historii.

Wymieniłem powody, które kierowały mną przy wyborze określenia dla niniejszej pracy. Nazywając ją "opracowaniem", miałem przede wszystkim na myśli pracę kompozytora, który wiernie zanotował ludową melodię, na przykład piękną melodię "quechua", wykonaną na flecie Inków przez peruwiańskiego pasterza, później starannie dobiera do niej aranżację orkiestrową, uwzględniając nie tylko koloryt i rytm utworu, lecz również najbardziej utajone duchowe wzruszenie prawdziwego autora.

Takie są zasadnicze zarysy kompozycji, których przestrzegalem - oczywiście zupełnie instynktownie - od początku mej pracy, ani na chwilę od nich nie odchodząc, nawet w "Skromnisi, narzeczonej Diabła", opowieści, która wiernie odtwarza elementy starej anegdoty, ubarwiając je nieco. W ten sposób duch dzieła ludowego pozostaje niemal nietknięty, a także, przynajmniej w wątkach zasadniczych jego litera, po przeniesieniu na płaszczyznę bardziej sprzyjającą emocjonalnemu porozumieniu między osobami prostymi a wykształconymi.

W dziedzinie sztuki "przekład" jest słowem pozbawionym sensu. Tworzenia dzieła trzeba dokonać powtórnie, posługując się materia jak najbardziej giętką i żywą. Jest to praca poety, a reszta odnosi się tylko do nauczycieli i dzieci.

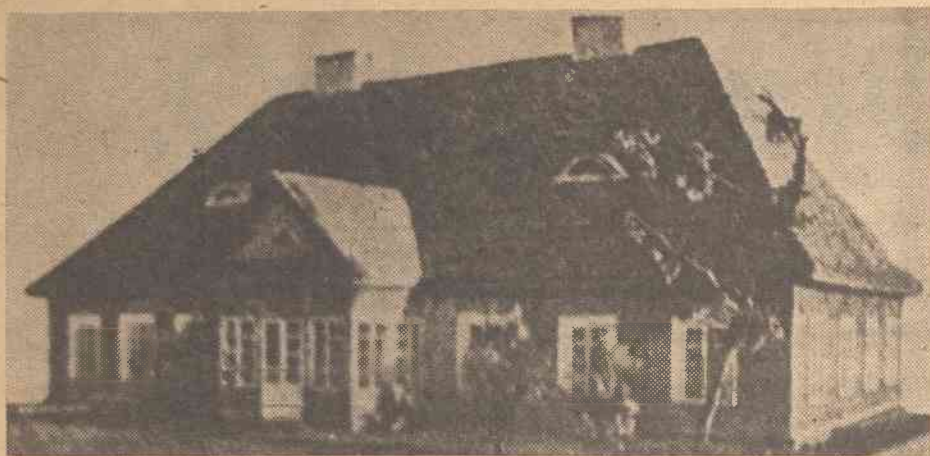
Wydanie oryginalne wymienionych wyżej autorów litewskich zawiera kilkaset historyjek i bajek. Jest w nim również niezliczona liczba czarodziejskich baśni, których wybór, w dosłownym tłumaczeniu, mam zamiar niebawem przedstawić młodzieży francuskiej.

Pozwolę sobie również przypomnieć, że pismo "Revue de France" w numerze z 1 września 1928 roku opublikowało moje opracowanie trzydziestu "dajń" - ludowych pieśni litewskich, wraz ze wstępem. Tych "dajń" jest tysiące. Mam zamiar niedługo wydać dość znaczny zbiór tych utworów.

I jeszcze ostatnia uwaga. Język litewski uważany jest przez lingwistów za pochodzący bezpośrednio od prymitywnego języka indoeuropejskiego. W swej obecnej formie ułatwia on ponadto badanie języka starołacińskiego i starogreckiego. Pewne motywy - jak swastyka i lotos - są bardzo często spotykane w ludowej sztuce litewskiej. Teoria podwójnej emigracji irańskiej - na północ i na południe - z dnia na dzień traci moc, podobnie jak teoria o pokojowym zajęciu Europy przez Minnow z terenów dawnych Indii, z takim przekonaniem głoszona przez de Paniague. Nauka współczesna, sprzeciwiając się pogładowi głoszonemu w ciągu całego XIX wieku, skłania się coraz bardziej do tego, aby kolebkę rasy indoeuropejskiej upatrywać nie w Azji, lecz w rejonie Morza Bałtyckiego, i teza ta, trzeba przyznać, znajduje poważne potwierdzenie w wynikach badań Jacquesa de Morgana nad prehistorycznymi inwazjami mongolskimi, które z jednej strony tłumaczyłyby ogromne ruchy białych ludów z Septentrionu w kierunku Kaukazu i Gangesu, z drugiej zaś ku Egei, Egiptowi i krainom azjatyckim. W świetle tych nowych danych za jakiś czas może pojawić się pytanie, czy litewski "Tomcio Paluch" - jak również "Królowa Śnieżka", "Kopciuszek" i "Czerwony Kapturek" (które mam zamiar zamieścić w innym zbiorze) - nie są przodkami ich odpowiedników w Europie Zachodniej i nawet w Azji. W sąsiedniej dziedzinie mitologia litewska zadziwiająco przypomina mitologię indyjską i - zwłaszcza z powodu roli, jaką odgrywa w niej wąż, dziś jeszcze gospodarz domowego ogniska i przyjaciel dzieci w pewnych regionach - zbliżona jest do folkloru greckiego (Echidna, córka Kalirhoe, w "Teogonii" Hezjoda), scytyjskiego (IV księga "Historii" Herodota), pallawickiego i kambodżańskiego. Interesująca baśń "Królowa Węży" jest pod tym względem charakterystyczna i zasługiwałaby może na porównanie z pewnymi współczesnymi teoriami naukowymi, dotyczącymi zwierzęcego pochodzenia roślin. Kto wie, czy dokładne zbadanie tej mitologii, wciąż żywej po sześciu wiekach wiary katolickiej, nie pomogłoby w rozwiązaniu pewnych problemów historycznych lub religijnych, takich jak obecność dynastii Bitis, symbolizowanej przez litewską pszczołę Bite, w Egipcie sprzed ery faraonów w Buto, w delcie Nilu - lub też w przekazaniu Drawidom mitów o Hiperborejczyku, źródeł cywilizacji wedyjskiej.

Oskar Miłosz

ZNAD WILII
1990.09.30 - 10.13 5



Makieta dworu Piłsudskich w Żułowie

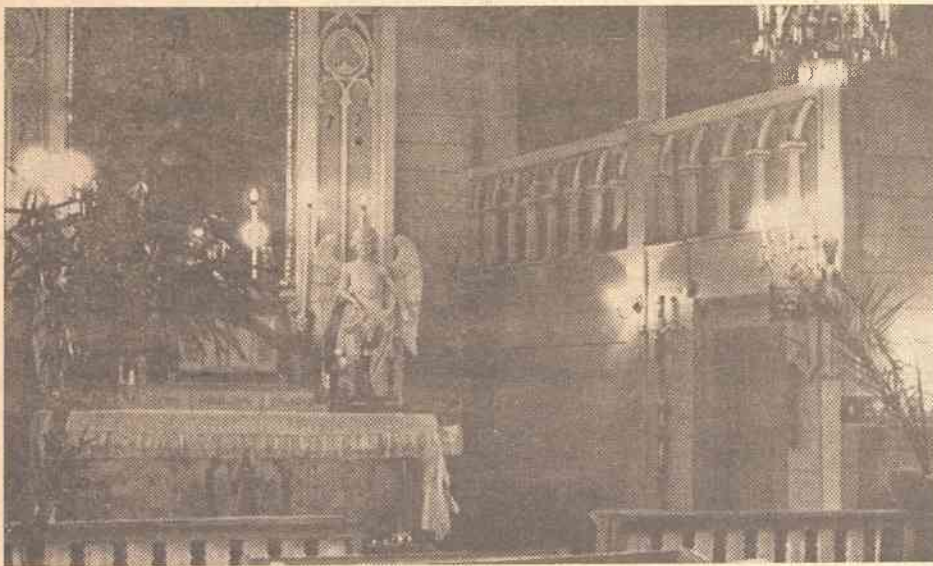
Józef Piłsudski urodził się 5 grudnia 1867 roku w Żułowie, koło Podbrodzia, w d. powiecie święciańskim, o 60 km na północny wschód od Wilna, w rodzinie Józefa Wincentego Piotra Piłsudskiego i Marii z Billewiczów Piłsudskiej. Rodzice przyszłego Marszałka byli właścicielami dość dużego majątku, toteż wczesne dzieciństwo Żułka upływało w dostatku i bez trosce. Tak po latach wspominał Marszałek rodzinny Żułów: *Duży miodrzewiowy dwór - wewnątrz dwanaście obszernych pokoi, portrety przodków na ścianach; dookoła domu blok zabudowań folwarcznych i przemysłowych; przed oszklonym ganikiem - wielki gazon, za nim - brama wjazdowa z herbowymi tarczami; na lewo od gazonu - sady owocowe i ogrody; nie szeroka, lecz wartka i głęboka Mera otaczała dwór malowniczym półkolem; z wpadających do niej dwóch strumyków - Paprotki i Żułówki - pierwszy tworzył duży i głęboki staw z wysmukłymi topolami nad brzegiem; wzdłuż Mery ciągnął się drugi sad i piękna aleja świerkowa, poza tym łączyły dwór z rzeką szeregi starych lip; malowniczym był pagórek, zadrzewiony, tuż nad rzeką. Zaraz za folwarkiem ciągnęły się lasy, w głębi tworzące już raczej puszcze; w lesie tym, w odległości paru kilometrów od dworu, chowało się duże jezioro Piorun.*

Józef Piłsudski wychowywał się w Żułowie w warunkach idealnych. W domu było dużo służby, wielu rezydentów z bliższej i dalszej rodziny, nauczycielki: Francuska i Niemka, co pozwalało dzieciom opanować oba wówczas popularne wśród inteligencji języki.

Ojciec Marszałka, Józef Wincenty Piotr Piłsudski (1833-1902) był człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym. Bardzo lubił muzykę, komponował i grał na fortepianie, był jednak nadmiernie rzutki i zbyt przedsiębiorczy, by utrzymać swe majątki w normalnym stanie. Miał wiele pomysłów, które najczęściej kończyły się

niewodzeniem. Z Żułowa chciał zrobić wielki ośrodek przemysłowy, rozszerzył hodowlę bydła i koni, zbudował młyny, produkował terpentynę, założył fabrykę drożdży, gorzelnię, wędzarnię, cegielnię. Ale niedostatecznie przemyślane inwestycje zawodziły. Zakłady nie dawały dochodu, trzeba było je zamykać. Wtedy Piłsudski senior rzucał się z pasją na nowe projekty, oczywiście, kosztem majątku i rodziny.

W oczach tamtejszych wieśniaków Józef Piłsudski senior miał dobrą opinię. W Pełczyńska w latach 30 opublikowała książkę pt. "Ludzie z Żułowa", w której przytacza wypowiedzi jeszcze wtedy żyjących mieszkańców majątku Piłsudskich. Oto wypowiedź Andrzeja Misiewicza o ojcu Marszałka: *Był to pan wspański, gdzie do jego równać się Józefu, ci*



Wnętrze kościoła w Powiewiórce i chrzcielnica, z której wodą święconą został skropiony mały Żułek. Fot. Piotr Jankowski

Żułowskie dzieciństwo Marszałka

któremu synu. Wielki był pan, wiadomo, z dziada pradziada. A siła u jego była ogromna. Po pokach chodził, że i na koniu jemu nie dorówna. Ręce w tył założysz idzie, a idzie cały w myślach. Jeśli masz do niego jaka sprawa, tak wtedy nie podchodź, na inną spokojniejszą chwilę zostaw. Ważny to był pan.

Dziećmi opiekowała się matka, Maria z Billewiczów (1842-1884). Była to, jak wspominają jej bliscy, nieprzeciętna kobieta, uwielbiana przez rodzinę i otoczenie, o charakterze niezwykle prawym. Słaba fizycznie, była ich opiekunką, wychowawczynią i najtroskliwszą matką. Uczyla dzieci "Śpiewów historycznych" Niemcewicza, poezji Mickiewicza itp.

Żułek росł więc pod troskliwą opieką matki wśród dość liczego rodzeństwa. Przed nim w Żułowie urodziły się siostry Helenka (1864-1917) i Zofia, zwana w domu Żułą (1865-1935) i brat Bronisław (1866-1918) oraz młodsi odcień bracia Adam (1869-1935), Kazimierz (1871-1941) i siostra Maria (1873-1921). Było ich więc w Żułowie razem siedmiu, gromadka spora i hałaśliwa. Do 1874 roku dzieciństwo Żułka przebiegało raczej sielankowo, wśród pięknej przyrody żułowskiej.

Katastrofa spadła nagle. W lipcu 1874 roku, gdy oboje rodzice byli w Wilnie, a nawet część formali wyjechała po nowy kociol do gorzelnii, w

Żułowie wybuchł pożar, który strawił wszystko: dwór z meblami, bibliotekę, stajnię, obory, fabryki. Cały dotychczasowy dobrobyt legł w gruzach. Rodzina Piłsudskich zmuszona była przeprowadzić się do Wilna. Skończyło się sielskie dzieciństwo Żułka. Wprawdzie przyjeżdżał do Żułowa jako gimnazjalista, zanim ojciec stopniowo nie wyprzedził całego żułowskiego majątku, ale te wypadki były już sporadyczne. Wymieniony wyżej Misiewicz wspomina wspólne zabawy z Żuukiem i Żułą: *Można liczyć, że my razem hodowali się. My trzymaliśmy w arendzie ziemię od pana Piłsudskiego. Ich było sześciu, nas było siedmiu synów i latami my byli do siebie dobrowszy się. Czasem pobijemy się, czasem pogodzimy się. Raz przyjechali oni, wzięli tódka - wyjechali na środek, a tódka była dziurawa. Żuła i Józef dociągnęli tódka do sińnika gęstego. Trawy chwyciwszy się, tódka trzymają, ale woda w tódce ciągle podnosi się i podnosi się ja, przepaszając, świni pasat. Chwycił ja wity, na drugą tódka był podjechałszy - ale dla o rady nie dał. Aż ojciec mój wyciągnął nas na brzeg. A Józef i Żuła mówion: Tylko ojcu nie gadaj.*

Żułów na długie lata stał się dla Piłsudskiego synonimem zamożności, spokoju i radości.

Mieczysław Jacklewicz



Prasa wileńska donosiła...



Przed 60 laty:

6 X 1930

Metody pracy brukowej

Jak wiadomo, celuje w sensacyjnym doborze tytułów i preparowaniu odpowiednich smakolepek dziennikarskich dla niewybrednych podniebień miejskiej gawiedzi krakowski "Kurier Codzienny", bardziej szowinistyczny i hurra-patriotyczny, niż jakikolwiek bądź świstek endecki.

Oto charakterystyczna próbka: w jednym z ostatnich numerów widnieje portret jakiegoś młodzieńca, dookoła tekst drobnym drukiem, a u góry olbrzymimi czcionkami tytuł "Litwin strzela do Polaka w hotelu paryskim". Z treści

korrespondencji dowiadujemy się, że owym Litwinem jest niejaki Jackiewicz, b. oficer gwardii rosyjskiej, urodzony w Kownie i dlatego zaliczony do narodowości litewskiej, zaś jego ofiara mechanik Czarniecki należy do gorliwych wyznawców komunizmu i wielbicieli Stalina. Strzały padły z ręki Jackiewicza do Czarnieckiego podczas gorącej dyskusji, co pozwala przypuszczać, że emigrant rosyjski - "białogwardzista" w uniesieniu chciał zamordować jednego ze zniechęconych bolszewików.

Nie każdy jednak przeczyta uważnie korespondencję, a przeciętny czytelnik odniesie wrażenie, że krwiożerczy Litwini tępią Polaków nawet w Paryżu... *Quod erat demonstrandum.*

8 X 1935

VI Zjazd Historyków Polskich w Wilnie

Obrazy minęły przeważnie pod znakiem dziejów Litwy.

Słuszną wydaje się ocena jednego z profesorów, uczestników Zjazdu, że właściwie i dziś stoimy na tem samem prawie miejscu, i dziś na pytania historyka: o wpływie kultury polskiej na rozwój i dobrobyt społeczeństwa litewskiego, o oddziaływaniu Litwy i Korony z osobna we wspólnych ciężarach całej Rzplitej, o roli rozbieżności terytorialnych interesów, o stosunku sił dzielących Litwę i Koronę do sił sprzęgających unie - jak na szereg innych pytań, odpowiedzi jeszcze nie mamy.

("Przegląd Wileński")

xxx

Porównyując dzisiejszą młodzież naszą z dawniejszą, co niegdyś kształciła się w byłym Uniwersytecie Wileńskim i w Liceum Krzemienieckim za czasów Śniadeckich-Malewskich w Wilnie, a w Krzemieńcu za dyrekcji Felińskiego, Wyżewskiego i Jarkowskich, straszna przedstawia się różnica w zasadach moralności, obyczajowości, mianowicie w poczuciach narodowych młodzi polskiej. Za czasów istnienia Uniwersytetu w Wilnie a Liceum Krzemienieckiego, mianowicie w epokach od r. 1815 do 1832, t.j. do epoki kasaty tych instytucyj, młodzież elektryzowała się poczuciami najszlachetniejszymi - dziarska, pełna życia fizycznego i moralnego, krzepiona piękniemi przykładami przez Tomasza Zana, Mickiewicza, Czeczotę, Suzina, Platerów: Władysława i Cezarego - i wielu innych swych współkolegów - jedni od drugich przejmowali wszelkie cnoty - narodowe, umysłowe i odwagę cywilną.

... Dzisiaj częściej żywsza toczy się rozmowa polityczna między podżyłymi osobami, w których jak ów znicz niezgasły goreje żywszym płomieniem w sercu i ustach - wychowawców dawnego systemu naukowego, niżeli w młodziu wyziewionym i pobawionym wszelkich uczuć i potrzeb szlacheckich... Dzisiaj częściej spotkać młodzieńca goniącego za materializmem, niż za życiem umysłowym i duchowym...

O młodzieży, pracującej po biurach, to i mówić nie ma czego! Ta zgnuśniała i zakopana w łowieniu pieniędzy i pijatyce żadnych poczuczeń życia moralnego nie daje.

("Źródła mocy", zeszyt 6, czasopismo krajowe, poświęcone kulturze regionalnej ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego)

25 X 1930

xxx

VIII-my Walny Zjazd naszego Stowarzyszenia apeluje do społeczeństwa o energiczne zwalczanie zgorzienia, szerzonego przez literaturę pomograficzną i demoralizujące firmy oraz przez agitację bolszewicką, tudzież o roztoczenie czujnej opieki nad młodzieżą szkolną i pozaszkolną.

xxx

Dyrekcja Małego Seminarium Ks.Ks. Misjonarzy w Wilnie (ul. Subocz 18) uprasza Szanowne Nauczycielstwo Szk.Powsz. skierowywać uzdolnionych chłopców, którzy za zgodą rodziców chcieliby się sposobić do stanu duchownego. Opłata za naukę wraz z całkowitem utrzymaniem w internacie wynosi 75 zł. miesięcznie. Uczniowie mogą mieszkać tylko w internacie.

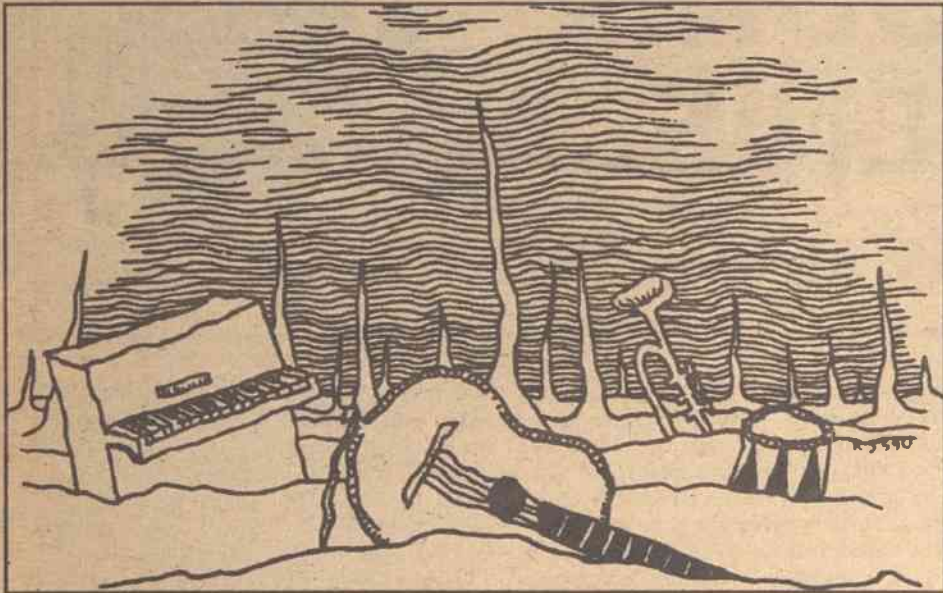
Po ukończeniu klasy IV uczniowie, którzy wytrwają w zamiarze poświęcenia się pracy misjonarskiej, będą nadal kształceni i utrzymywani na koszt Zgromadzenia Ks.Ks. Misjonarzy. Ze względu na intensywną naukę języków starożytnych pożądaną jest skierowywanie uczniów do kl. I po ukończeniu przynajmniej czterech oddziałów Szkoły Powszechnej, gdyż dalsze klasy wymagają specjalnego przygotowania z języków.

("Okólnik",
Wileński Oddział Okręgowy
Stowarzyszenia Chr.-Narod.
Nauczycielstwa
Szkoł Powszechnych)
Wybór:
Elwira Ostrowska

6

ZNAD WILII
1990.09.30 - 10.13

TERAPIA MUZYCZNA



Rys. Stanisław Kaplewski

Dialektykę rozwoju można by podsumować w ten sposób: na każdy środek istnieje antyśrodek. Dlatego też ludzkość nauczyła się zwalczać różne negatywne zjawiska i choroby. Lecz sek w drugim końcu kija - pojawiają się wciąż nowe paskudztwa i choroby. Ostatnio nagminnie zaatakowały nas stesy. Jak walczyć z nimi? Zasada - nie przejmować się, siedzieć na diecie i w ogóle się relaksować - nie sprawdza, a w praktyce oznacza wręcz rezygnację z coraz to bardziej już nielicznych przyjemności życia.

Jest jednak doskonały środek zdejmujący zmęczenie, zalecany i dość efektywnie wykorzystywany - to terapia muzyczna. Wkroczyła ona do hal produkcyjnych, biur i urzędów, szpitali i szkół, zaś w sprzężeniu z ruchem entuzjastów znalazła się aerobic. Natomiast mój środek jest bardzo prosty i ma już pewne upowszechnienie: doszedłem do wniosku, że muzyka jeszcze bardziej uspokaja, gdy się samemu gra na jakimś instrumencie. Wychodząc z tego założenia, kupiłem gitarę i po cichu, w kątku zacząłem muzykować. Po zwalczaniu trudności natury technicznej osiągnąłem pewien poziom amatorski, lecz nie o to chodzi - najważniejsze, że znacznie poprawiłem swe

samopoczucie i zacząłem częściej się uśmiechać.

Kiedy sąsiedzi, pogrążeni w swych codziennych kłopotach, kompleksach i stresach, ostentacyjnie przekonali się o mojej odmianie, uroczyście opatentowałem swój cudowny środek. Z początku nie dowierzali, ale w końcu udało mi się ich przekonać. Po pewnym czasie zza ściany zaczęły się rozlegać nieśmiało, lecz potem coraz bardziej natarczywie dźwięki pianina, wydzwaniane szorstkimi palcami rzeźnika, natomiast z przeciwległej strony mieszkania doszły energiczne próby opanowania niesfornej trąbki przez kierowcę wywrotki, z dołu startowały kanonady perkusji oddzielnego piwiarni, a z góry opadały ciężkie razy kontrabas szarpanego przez nerwicowego fizyka.

Potem i na innych piętrach przybyło instrumentów. Ale to mnie nie cieszy: coraz częściej wybijam się ze swego rytmu, a i wyglądam gorzej, zaczynam już wątpić, czy w ramach szerszej terapii muzycznej uda się zorganizować spółdzielczą orkiestrę blokową.

1983

Romuald Mieczkowski

W GŁĄB I Z BLISKA



Choć pierwsze powojenne lata były chłodne i głodne, a nadzieja, że będzie lepiej, ciągle jak goniona tęcza uciekała w dal, za linię horyzontu - w rodzinie jednak nigdy nie obchodzono się bez gazety. Kiedy po polsku przestała wychodzić, brano rosyjską, bo treść litewskiej była niedostępna ze względu na barierę językową. Każdy nowy numer utrwał w przekonaniu, jakież to zawrotne tempo ma rozmach budowy nowego społeczeństwa. Tak łatwo, zdawałoby się, można je było podstawić pod pojęcia "krajny miodem i mlekiem płynącej" opisanej na cudem

ocalonych kartkach z ksiąg religijnych przechowanych pod strzechą - gdyby nie rzeczywistość. A więc, gazeta sobie - rzeczywistość sobie.

Na nic się przydały-wiernopoddańcze listy i raporty wodzowi narodów, upowszechniające jego obecność, wszechwiedzę, troskę o wszystko, potęgę mądrości i władzy. Dziwiliśmy się portretom, że wciąż na nich młody, tryskający energią zyciową, próbujący przewiercić wszystko przenikającym wzrokiem z jakimś sfinksowym uśmiechem ukrytym w bujnych włosach.

Na pomoc gazetom przysły "radiotoczki" i inne cuda techniczne z całym koncertami pieśni ku czci: tak zwanych ludowych, autorskich i całych kantat nieraz - i wszystko to sławiło, sławiło, sławiło.

Tylko pomimo tej sławy rozdmuchiwanej i tego kanonu powielanego w sile wieku oblicza nikt jakoś w nieśmiertelność nie wierzył. Portrety i zdjęcia masowo każdego dnia szły tam, dokąd zwykle papier już sfatygowany iść powinien: na zawijanie pakunczków, posiłku skromnego noszonego z sobą na "plononośne kotchozowe bezgraniczne pola", lub do innych miejsc

na jeszcze gorszy użytek. Tyle sprofanowanych oblicz swoich jeszcze za życia nie miał z pewnością żaden wódz.

I oto nadszedł czas, który musi nadejść dla każdego, choćby mu ciągle wmawiano i wspiewywano nieśmiertelność. Biły w twórgę od paru dni komunikaty o stanie zdrowia nie rokujące większych nadziei. Marcowego poranka szedłem do szkoły już z tą wiadomością, że... nie żyje. Wiedzieli o tym nie wszyscy. Ktoś z maluchów, z tych nie wiedzących jeszcze, werwał się do klasy ze zwykłym bezstrasnym hałasem. Z furją był pouczony przez jednego z nauczycieli, uczestnika frontu, człowieka z natury dobrego i szanownego pedagoga. Wiedzieliśmy, że był kontuzjowany, miał oprócz kalectwa fizycznego poszarpane nerwy, że czasem nie panował nad sobą. Tym razem był to atak nieprzeciętny. Po pewnym uspokojeniu ze łzami w oczach wrócił do przerwanej zajęcia. Przywiązywał czarną wstęgę do drzewca z czerwonym płótnem.

W dzień pogrzebu zalecono na zajęcia nie przychodzić, a raczej spędzić w domu przy odbornikach. Radio grało żałobę, mówiło głosami Malenkowa, Berii i Mołotowa. Pierwszy głos był głuchy i pulchny, jak znany ze zdjęć mówca. Drugi wydawał się stanowczy i jakby podszty

rzekomym żalem a pewnością swego jutra. Mołotow, wydawało mi się, jak i wspomniany nauczyciel - płakał, bo się zaczynał. Podobno, zawsze zaczynał się mówiąc. Ludzie przygnieci nastrojem muzyki poważnej czekali z cichą nadzieją, że teraz to już się coś zmieni.

Oczekiwania wiejskiego ludu były zawsze optymistycznie rozbijające: musi się coś zmienić, tak być nie może, dokąd to idzie, co dalej będzie? Wiele narzekań, wiele nieszcześcia. Ale oczekiwanie wprowadzało ducha na jakąś drózkę świetlistą, dawało cierpliwość i tuł nadziei - zawsze na lepsze. Na przyszłość prawdziwą i bardziej ludzką, czego nie mogła uczynić cała ogromna machina dełej i podstępnej, miazdzącej propagandy, obiecującej wieczne słońce, krajną szczęścia, ale, jak się okazało, zawsze - tylko dla przyszłych pokoleń. Jedyny wyjątek - późniejsze stwierdzenie drugiego władcy, że "nynieszniej pokolenie budżet żyć pri komunizmie", co załamało się równie szybko jak i powstało.

Tamten dzień był dziejowy. Był uświadamianym początkiem końca pewnej epoki, która okazała się w odróżnieniu od swego twórcy aż do dziś żywo. Kruszy się powoli przerstając w inną. Jaka będzie?

Wojciech Radłowski

Od nowa

ZAMIĄST REFERATU

Rola prześmiewcy jest niewdzięczna, gdyż musi szukać dziury w całym. Nie jest to w czasach dzisiejszych zajęcie trudne, ponieważ garderobę mamy dziurawą. Wybaczą mi Czytelnicy pierwszej strony, która jako poważniejsza zajęta jest poszukiwaniem pogody w naszym życiu, dotyka rzecz można, górnych jego rejestrów. Mam jednak tę satysfakcję, iż to, co inni myślą sobie pod wąsem, ja mogę wypowiedzieć głośno.

Przyglądałem się także różnym konferencjom. Było ich ostatnio dużo. Niektóre nakładały się czasowo, co sprawiło dodatkowe utrudnienie, ponieważ długo nie mogłem się przekonać, czy jestem na właściwej imprezie. Bo i wszystkie w sumie były podobne. Dziś na spotkaniach naukowców, intelektualistów, czy artystów wymyśla się takie tematy, że pasowałyby do nich wszystko. Nawet pierwszy przypadkowo napotkany przechodzień mógłby z powodzeniem zabrać głos. A tu garstka najśmielszych (i mających czas) jest pewna, że odkrywa Amerykę! Nic nie miałbym przeciwko powtórkom, gdyby nie ich poziom. Sytuacja jest żenująca, kiedy naukowiec prócz błędów logicznych popełnia także błędy językowe, a artysta nie potrafi odróżnić stylów i myli epoki. A już zupełnie nie mogę wytrzymać, gdy słyszę od uczestników obrad, o podjęciu odpowiedzial-

ności za wszystko i za nas wszystkich. Gdy słyszę: *My Uczni, My Artyści...* Chciałbym, żeby w ten sposób mówili jeno ludzie, godni mego zaufania.

Unikam więc publicznych imprez, odmawiam sobie przyjemności wystąpień. Zresztą nie wiem, czy przedstawicielom naszej mniej niż skromnej elity naukowej podobałoby się stwierdzenie, że co najmniej 90 procent doktoratów w dziedzinie humanistyki należałoby... unieważnić. Wiadomo przecież, na jakiej podstawie były one robione. Wiadomo, w jaki sposób i komu przydzielano limity na pisanie rozpraw naukowych. Fundament wszelkich dociekań miał być marksistowsko-leninowski i basta!

To dozowanie wszystkiego, charakterystyczne dla niedawnego ustroju, fatalnie wpłynęło na stan dzisiejszej nauki. Okazało się bowiem, że historycy nie znają źródeł, literaturoznawcy literatury, artyści nie potrafili wykroczyć poza realizm socjalistyczny.

Owszem, na sympozjach zdarzały się i udane referaty. Mnie osobiście przypadło do gustu przemówienie, które przytoczę w całości: *Pora zrobić przerwę.* Zahaczam o ten aspekt zebrań, że solidne wystąpienie musi być długie. Czy długie w całej swej rozciągłości może być jednak ciekawe? Naukowcy są zdania, że z zainteresowaniem słucha się tego samego człowieka w ciągu bardzo krótkiego czasu. Niemożliwością natomiast jest przebrnięcie wraz ze spoconym prelegentem przez gąszcz mglistości

wyrażonych nawet słusznych problemów. Jest mi szkoda uczniów, studentów, przeciętnych członków parlamentu (kwestii, czy tacy w ogóle są, poświęć jeden z felietonów) i tych wszystkich, którzy muszą wysłuchiwać codziennie tylko bardzo mądrych rzeczy.

Uważam, że do takich bolączek współczesności jak wyścig zbrojeń, skażenie

środowiska, AIDS i coś tam jeszcze, trzeba dodać nudę pospolitą. Przecież niektórzy mówcy zanudzą nas na śmierć! Jak na razie - jedyny ratunek, to drzemka. Pamiętam, jak słodko mi się spało w trakcie wygłaszania referatu o wyzwoleonej inicjatywie i aktywności. Obawiam się, że podobnym grzędzeniem usypia się tysiące ludzi. Poza tym na niejednej konferencji łatwo się zdenerwować i nie móc zasnąć nawet przez całą noc...

Gadują są niebezpieczne i pod innym względem: w nagromadzeniu słów nie zawsze można się przekonać, o co to właściwie chodzi i wyciągnąć zupełnie inne wnioski. W modnej oprawie często powiela się stare treści. Jakby się nie

starać, człowiek wyrasta do pewnego poziomu. Najlepszy gospodarz kotchozu nie zawsze potrafi myśleć w skali regionu czy kraju, a etatowi od lat przemawiający nie zapią ducha odnowy. I tu postawie kropkę - żebym w swym pisaniu nie był zbyt przewlekły. Że aż nudny.

Tomasz Bończa

